



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

Kwartalnik nr 4(89)/2016

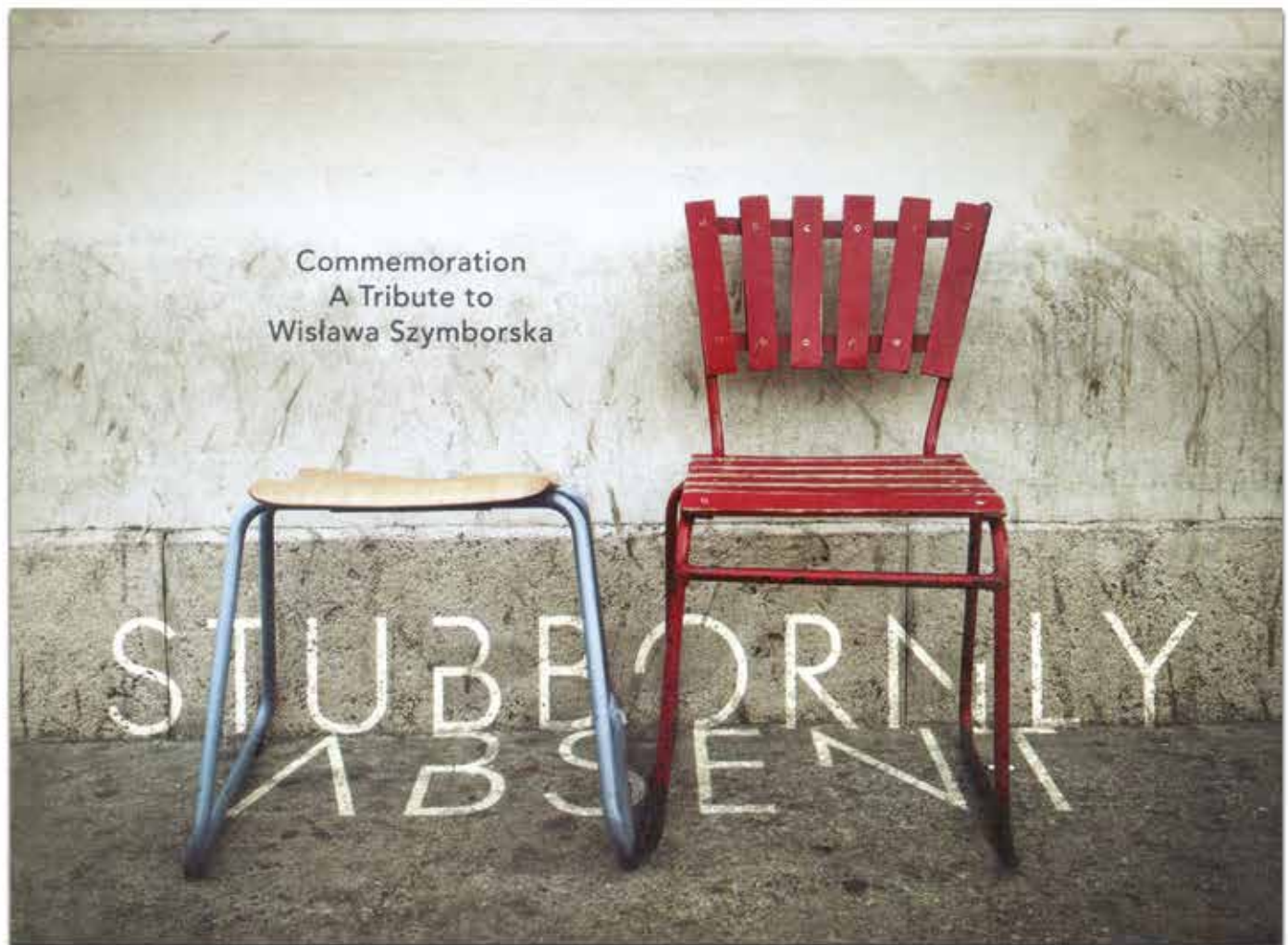
www.poolspodium.org

ISSN 1233-7633



***Pogodnych Świąt
i Do Siego Roku 2017!***

STUBBORNLY ABSENT



Poezja Wisławy Szymborskiej zaśpiewana po angielsku
Unikatowy projekt muzyczny - pierwszy taki na świecie
Jedenaście wierszy w zaskakujących aranżacjach
Ekskluzywnie wydana książka z płytą CD

Projekt pod patronatem:



FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

Zamówienia na:

www.stubbornlyabsent.com

JAZZDA

MUSIC



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

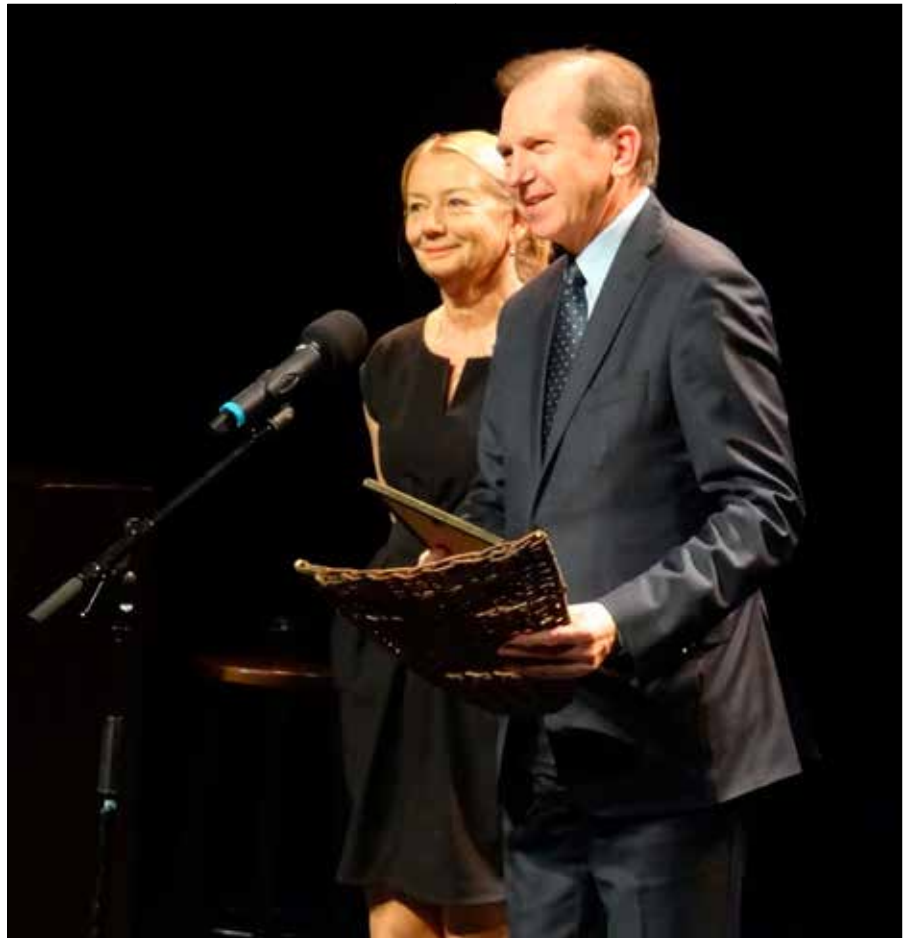
Drodzy Czytelnicy

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, rozświetlają światelką na choince, a my częściej myślimy o bliskich. Nasze domy wypełniają ciepło i miłość. Również w tym świątecznym wydaniu „Sceny Polskiej”, przekazujemy wam Drodzy Czytelnicy pozytywne artykuły i życzenia nadesłane, z różnych stron m.in.: z Rygi, Sztokholmu, Opola, Brukseli, Nowego Jorku.

Wspominamy też miłe akcenty kończącego się roku. Wspaniały popis aktorsko-wokalny Mariana Opani w programie „Moje Fascynacje” w Teatrze Kikker w Utrechcie recenzuje Małgorzata Doszczak. Ważnym wydarzeniem było wręczenie przed spektaklem „Wiklinowej Maski” – za zasługi dla „Sceny Polskiej” – Ambasadorowi RP w Hadze dr Janowi Borkowskiemu.

Były też chwile trudne, nasz redakcyjny przyjaciel Juliusz Burgin wspomina niedawny wylew, ale ze swoim cudownym podejściem do życia wraca do pisania i do spotkań z nami. Najważniejsze to się nie poddawać. Julku, zdrowia!

Piszemy o stracie i niedawnym odejściu wspaniałej kobiety Elżbiety Dmochowskiej. Dla Jej męża, Marka Orzechowskiego te święta będą bardzo smutne. Marku, w tych sztucznych światelkach i prawdziwych gwiazdach iskrzą się wspomnienia i pamięć o Niej. Tyle książek napisałeś, tylu ludziom poświęciłeś strony swoich reportaży. A my tak mało wiedzieliśmy o Twojej żonie, chociaż była tak blisko. Wspomina Ją Ania z Brukseli, pięknie, bo tak będziemy wspominać Elżbietę, Twoją żonę.



Ambasador dr Jan Borkowski odbiera „Wiklinonową Maskę”

fot. Bogdan Dmowski

Szczęście i tragiczne koleje losu. Radości i smutki, takie jest życie. Ale zawsze jest jutro, a to jakie będzie tworzymy dzisiaj, żeby móc wspominać jako wczoraj. Tak szybko obracają się wskazówki zegara, tak szybko zrywamy kolejne kartki z kalendarza. Często tłumaczymy się, jak mało mamy czasu wolnego na spotkania z bliskimi. Dla większości z nas okres świąteczny daje nam upominek w postaci większej ilości wolnego czasu. Nie zmarnujmy go. A człowiek bliski, to niekoniecznie rodzina. Nie wszyscy są obdarzeni partnerami, dziećmi i wnukami. Pomyślimy, kto czeka na tele-

fon, maila, kartkę czy dzwonek u drzwi. Może trzeba naprawić jakąś zapomnianą, zerwaną z powodów, których już nawet nie pamiętamy przyjaźń? Nie zmarnujmy szansy, nie czekajmy, że będzie znów okazja za rok.

Nasi autorzy piszą o przemijaniu i o tym, jak ze wzruszeniem pamiętają minione Wigilie Bożego Narodzenia. Jeśli udało im się Państwu wzruszyć i rozmarzyć, to takie przesłanie towarzyszyło naszemu świątecznemu wydaniu „Sceny Polskiej”.

Pogodnych Świąt i Do Siego Roku 2017!

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 4(89)/2016 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.
WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. 31 (0) 30 2718296, e-mail: poolspodium@gmail.com
Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.
www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map
OKŁADKA: Święta w Rydze, Irena Liegeniece

Projekt jest współfinansowany w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.



„Moje fascynacje” Mariana Opani



MAŁGORZATA DOSZCZAK

Brel, Okudźawa, Wysocki, Młynarski, Hemar, Słonimski, Nohavica i Cohen. Niesamowite zestawienie wielkich bardów. Co łączy tych znakomitych twórców? Piosenki poetyckie, nostalgiczne, pełne przemyśleń, chociaż czasem też komiczne. Teraz połączyła je także osoba wykonawcy, który ich utwory interpretuje. To Marian Opania, który w ostatnią listopadową niedzielę odwiedził Scenę Polską w Utrechcie ze swoim koncertem słowno-muzycznym „Moje fascynacje”.

Szczerze powiedziawszy mnie Marian Opania kojarzy się bardziej z teatrem telewizji i kilkoma filmami. Najbardziej zapadła mi w pamięć jego już bardzo odległa w czasie rola peerelowskiego dziennikarza w „Człowieku z żelaza” Wajdy. Jego poczynań wokalnych nigdy nie śledziłam. Może szkoda, bo warto.

Okazało się, że Opania od dawna związany jest z poezją śpiewaną. Zainteresowania te najwyraźniej przybrały na sile w ostatnich latach. Ich efektem było między innymi wyreżyserowanie spektaklu muzycznego „Cohen – Nohavica” w teatrze Buffo oraz stworzenie autorskiego koncertu, którego właśnie wysłuchałam. Jego treść wypełniają utwory kilkunastu autorów, dobrane chyba bez wyraźnego klucza, po prostu takie, które są bliskie Opani. Niektóre satyryczne, lekkie, dotykające tematów życia codziennego i oczywiście stosunków damsko-męskich. Świetny przykład to cudowne wykonanie żydowskiego szmoncesu „Mam już dosyć żony”.

Wśród wykonywanych utworów są również teksty Jaromira Nohavicy i Marcina Wolskiego. Marian Opania pokazuje w nich swój aktorski kunszt. Chociaż sam twierdzi, że role komediowe nie przychodzą mu łatwo, efekt komiczny jest fantastyczny. Ale zdecydowana większość utworów w tym koncercie to te bardzo refleksyjne, wręcz filozoficzne. Aktualne zawsze, niezależnie od czasów, opisujące świat i kondycję ludzką.



Autorka w rozmowie z Marianem Opanią.

fot. NS



Na scenie w Teatrze Kikker

fot. NS

W wywiadzie dla Polskiego Radia Opania powiedział kiedyś, że śpiewa wyłącznie repertuar ludzi poszarpanych wewnątrz. „Lubię takich twórców, są mi bliscy, bo i ja taki jestem. Ja nie jestem ten miły, uśmiechnięty Marian Opania. W środku drzemie diabelny charakter” – mówił aktor. Pasję i błysk w oku było na scenie widać, ale ten „diabelny charakter” na scenie się nie ujawnił (no, może przez moment w rozmowie po koncercie). Za to w doskonałych interpretacjach Opani sporo było refleksji nad przemijaniem, ale także – pewnie specjalnie na takie okazje dobrane – przemyślenia dotyczące emigracji. Pamiętam te teksty z dzieciństwa. Wtedy, w latach osiemdziesiątych, miały szczególne znaczenie. Kiedy je znów usłyszałam, na dodatek w towarzystwie wielu utworów, które można bezpośrednio odnieść do aktualnej sytuacji, przeszył mnie dreszcz. Mocne.

Jednym słowem, to świetny koncert: spora dawka refleksji ze szczyptą lekkiego humoru. Do czego bardzo przyczynił się towarzyszący Marianowi Opani przy pianinie Wojciech Kaleta, swobodnie wtrącający swoje trzy grosze do komentarzy Mariana Opani. ■

ALLOCHTONKA.BLOGSPOT.COM

Idą święta

JOLANTA OFFIERSKA KIWERTZ

Pani Jolu, czy tęskni Pani za Polską? Czy po prawie trzydziestu latach można jeszcze tęsknić za Polską? Takie pytanie usłyszałam wczoraj od grupy młodych polskich emigrantów. Patrzyli na mnie trochę z ciekawością, a trochę chyba z nadzieją, że odpowiem negatywnie. Coś w rodzaju – Nie, oczywiście, że już nie. A ja od razu przypomniałam sobie wydarzenie z przed kilku dni. Pojechałam do starego centrum Rijswijku. Lubię tamtejszą atmosferę, miniaturowe kamieniczki i ogromny neogotycki kościół zbudowany wokół dzwonnicy. Niezwykła rzadkość. Przechodząc obok bocznych drzwi kościoła jak zwykle pomyślałam, że Jacek musi je koniecznie sfotografować. Te kilkumetrowe drzwi, kiedyś zapewne w użyciu, dzisiaj pozbawione klamek lub jakichkolwiek uchwyty mogą stać się dla jednych wymowną alegorią naszych czasów, a dla innych po prostu zaskakującym detalem. Kilka metrów dalej przeszłam wąskim, malowniczym zaułkiem na parking, dawniej będący zapewne wewnętrznym ogrodem. Zrobiłam parę kroków i zastygłam. Zapach liści dębu, leżących wśród gęsto nasadzonych miniaturowych iglaków przywiódł obraz cmentarzy, polskiego listopada, Zaduszek, Polski. Na chwilę zobaczyłam kilkuletnią siebie jak z koleżankami uprzątam groby na poznańskiej Cytadeli, jak wędruję po cmentarzu z Kubą w wózku, łuny świateł bijące od świec, groby bliskich... Zamknęłam oczy, żeby uratować ulotne obrazy, żeby zostały ze mną jeszcze przez chwilę, ale spłoszył je zatroskany głos starszego mężczyzny – Mevrouw, gaat het? – Tak, tak oczywiście wszystko w porządku. Ale nie było. Ruszyłam żwawo, żeby go uspokoić, ale jak tylko zniknął, wróciłam na miejsce próbując ponownie przejść przez bramę do przeszłości. Nie udało się. Może powiedzie mi się w grudniu. Boże Narodzenie zawsze przywołuje wspomnienia domu, bliskich. Smaki i zapachy wigilijnych potraw, krzątanie mamy, karpia w wannie, przysypaną śniegiem choinkę na balkonie. Czekanie, aż stanie w pokoju wydawało mi się zawsze wiecznością. A teraz stawiam ją tuż po Świętym Mikołaju na holenderską modłę, na drzwiach wejściowych zawieszam ozdobny wianek upleciony z sosnowych gałązek, a w ogrodzie co wieczór zapalam girlandy światełek. Moje Boże Narodzenie nie jest już takie, jak to polskie, mamine. Nie ma tu karpia ani grzybów, a nasze wątroby nie radzą sobie z polskim bigosem. Jednak jak dawniej przy naszym stole zawsze stoi



pusty talerz, czekając na gościa. W tym roku będzie nim mużułmanka, dla której to pierwsze spotkanie z bożonarodzeniową tradycją. Upiekę więc piernikowe ciasteczka i ugotuję wigilijny kompot. Może nie bardzo pasują do sushi i sashimi, ale ich smak i zapach jest dla mnie esencją świąt. Przynajmniej takiej wersji będę się trzymać, wmawiając Sorayi, że to co widzi to typowa polska Wigilia.

Czy po tylu latach można jeszcze tęsknić za Polską? O tak, można. Tęsknota nie musi przybierać biało-czerwonych barw, wzbierać w piersi patriotyczną pieśnią, nie trzeba być

chorym na Polskę. Czasem wystarczy tak niewiele.

– A Holandia, czy zawsze będzie mi obca? – zaniepokoił się jeden z moich młodych rozmówców. Nie wiem jak to będzie z wami, ale ja, kiedy niedawno Marian Opania zaśpiewał na swoim cudownym recitalu w Utrechcie piosenkę Breła o Amsterdamie, poczułam takie samo wzruszenie i ciepło jak tam, w Rijswijku, wśród liści.

Wesołych Świąt wszystkim dobrym duchom Sceny Polskiej życzy Jolanta. ■

Leokadia Komaiszko

Boże Narodzenie w Belgii

*Czas tu obecny jest nienawykły.
Czas rzeźkością ostrą oddycha.
Przyszły mrozy. I grudniowe
południe oczy wytrzeszcza jak na Wschodzie.
W kularach wilgotnych Leodium –
czekoladowymi papierkami szeleszczą
Święta.*

*Stawiam w oknach choinki i bombki.
Wystrojone klasycznie sroki w koronie
starego drzewa mi koncertują. Płoną
ostatnim oranżem spóźnione nagietki.
Śnieżna puszystość opada wokół i skrzypi.
Mam... żywy ogień w piecu przodków.*

*Biały opłatek na lnianym obrusie.
Rozmaryn i ryby pachnące dzieciństwem.
Obce wino. Nad tym co było, nie chcę płakać.
Ani żyć przed tym co będzie.*



*Kontempluję czas istniejący.
Dopływ każdej chwili namiętnie chłonę.*

*W barwach królewskiego błękitu
schodzi niebem – mój czas Bożego
Narodzenia.*

Belgia

Zapachy i smaki Bożego Narodzenia



TADEUSZ C. URBAŃSKI

Każdy z nas wspomina jakieś minione Święta Bożego Narodzenia. Najczęściej te z lat dziecińczych, o ile czasy były spokojne i kiedy jeszcze św. Mikołaj fatygował się do nas. Teraz już nie przychodzi, widocznie przestaliśmy być grzeczni.

Boże Narodzenie miało swój rytuał, smaki i zapachy. Zapachy były zapowiedzią Świąt, chodzenia na łyżwy przed południem, odwiedzin u kolegów mających telewizor. Domownicy też byli jakby łaskawsi i nie pytali codziennie: – a co tam w szkole? Wszak szkoły też nie było i to przez dwa tygodnie! To były słodkie lata 60-te!

Dziś, mieszkając poza Polską, opowiadam dzieciom o przygotowaniach do Świąt w latach 50-tych i 60-tych, gdy każdy zakup mimo szczegółowych planów mógł być niezrealizowany, gdy stało się w kolejkach i „polowało” nawet na zwykłe masło, dzieci nie chcą wierzyć albo zadają kłopotliwe pytania: dlaczego tak było? No, tak było i nie pora na szczegółowe wyjaśnienia w tej chwili.

Najpierw było wielkie przedświąteczne sprzątnięcie, stąd zapach pasty do podłogi był w domu dominujący. Zza okien dochodziły dźwięki trzepania dywanów. Mimo śniegu za oknem, ktoś mył okna denaturatem i gazetami, czego wiązka zapachu snuła się pół dnia po pokoju. W miarę zbliżania się Wigilii, przychodziły inne zapachy, bardziej spizarniane, spożywcze i o podłodze się zapominało. Ale nie do końca, bo trzeba było ją froterować.

Dzisiaj w moim sklepie, przechodząc obojętnie obok usypanej góry pomarańczy, dobiega mnie ich zapach. Skłania mnie to niekiedy do przypomnienia sobie domu i kryształowej salaterki, w której leżały z trudem kupione pomarańcze przemieszane z figami i cukierkami. Pomarańcze obierało się z pietyzmem, skórki kroilo i po świętach gotowało w cukrze jako dodatek do ciast na następne okazje.

Przygotowania kuchenne rozsiewały po mieszkaniu konkretne zapachy: moczonych śledzi, grzybów, kapusty, podsmażanej

cebuli i smażonej ryby. Zapach cynamonu związany był z wypiekiem ciast a gałka muszkatołowa z wypiekiem mięs.

Na niektóre, jednoroczne zapachy, kiedyś nie zwracałem uwagi, więc niedawno przypomniałem sobie zapach maku moczzonego w mleku. Święteczne zapachy stawały się kompozycją, którą trudno odtworzyć za granicą. Nie wszystko przecież przyrządzamy sami i tak na przykład makowiec, kupujemy u polskich cukierników. W przypadku moich prywatnych wspomnień, powinienem przywołać śwąd pieca węglowego i chyba nie muszę nikogo przekonywać, że świąteczny indyk pieczony w węglowej kuchni był lepszy niż ten z dzisiejszego elektrycznego lub gazowego piecyka.

W rytuał przygotowań świątecznych wchodziły również dźwięki i odgłosy: ucierania i wałkowania ciasta, szuranie blach na kuchni, brzęk rondli i brytfanien, którymi obstawiona była pani domu. Znam doskonale zapach świeżo tartego chrzanu, który kiedyś musiał być „swój”, czyli tarty w domu. W przygotowaniu Świąt Bożego Narodzenia wyczuwało się większe skupienie, gdyż większość prac wykonywano ręcznie. Dziś w przedświątecznej kuchni dominują wysokie tony domowych maszyn kuchennych: przy sprzątnięciu odkurzacza, a w dalszym ciągu przygotowań, elektrycznej maszynki do mięsa (koniecznie pasz-tet!) i innych robotów.

Choinka oczekiwała na balkonie na obsadzenie w stojaku i przystrojenie. Ubierana była wieczorem w przedzień Wigilii albo w Wigilię rano. Nie pomagały żadne prośby, żeby wcześniej, mimo dziecięcego wkładu pracy w klejenie długiego łańcucha z pa-

pieru. Tak miało być. Jej zapach dominujący, ale i dopełniający, bukietu zapachów świątecznych, zwiastował najmiłsze i koniec wszystkich przygotowań.

Smak karpia w galarecie z chrzanem, szelest odwijanych cukierków zapakowanych w gruby celofan, odgłosy rozpakowywanych prezentów, grzechot łuskania orzechów łaskowych i włoskich, śpiewanie kołęd czy odtwarzanie ich z płyt dopełniały uroczystości. A kto pamięta charakterystyczny odgłos uderzającej bombki o podłogę, czy bombek choinkowych uderzających o siebie?

W trakcie kolacji wigilijnej zapach krochmalonego obrusa ulatniał się, lecz zostawał zapach siana pod nim, zapalało się świeczki na choince, bo nie wszyscy mieli elektryczne lampki. Choinka nieraz stawaa w ogniu (to pamięta się doskonale) i dorośli gasili ją kocem czy narzutą z tapczana. Później, chodziło się do rodziny i znajomych, gdzie zapachy były podobne i tylko szopka wśród gałęzi mogła być inna.

Teraz, w czasie jakiegoś przypadkowego obiadu, śwąd gaszonej świecy przypomina mi czasami o tamtej choince z dzieciństwa. Będąc na Gwiazdkę w Polsce kilka lat temu, przypomniałem sobie zapach związany wyłącznie z Bożym Narodzeniem: zimne ognie choinkowe!

Moje dzieci wychowane za granicą, przyglądają się przygotowaniom do świąt i smakują niecodzienne potrawy. Ale będą miały inne skojarzenia, bo pasty do podłogi już się nie używa, a olbrzymia część potraw roztoczy swe zapachy, gdy się je rozpakuje z firmowych toreb i pudełek.

■ SZTOKHOLM

Leokadia Komaiszko

Śnieg

Śnieg, kotdra puszysta, na me okna miękko opadła.

Na walońskich błękitnych kamieniach zaspy.

I na drewnianych parapetach litewskich.

Wiatr z bielą ruchliwą dyskretnie tańczy.

Firanami śnieżynek ciekawość okien przykrywa.

Niosę chleba dla ptaków, śnieg pod butami skrzypi.

Jak wtedy, gdy po choinkę, biegła za ojcem rodzeństwa trójka...

Belgia

Z serem w Nowy Rok!



MAREK GRĄDZKI

No i proszę jak to szybko przebiegło, zanim się obejrzał a tu już trzask, prask i 2017. Z jednej strony człek się cieszy, bo to i nowe nadzieje, nowe perspektywy, z drugiej jak sobie pomyślę, że mi kolejny przecinek na kark skacze to brrr trzęsie i do starych lektur – „W poszukiwaniu straconego czasu” by się szyję skreśliło. No ale nic to tak ta nasza rzeczywistość wygląda i nic na to nie poradzimy. Ja natomiast idę w kierunku koloru nadziei, tego co nie z pluchatą zimą, jaką teraz mamy, się kojarzy a wiosną. W spiżarence uchowały się kiszzone liście winogron, ładne, mięsiste. Przyszedł więc czas by je wykorzystać. Zrobiłem wzorem francuskiego bouche de chevre, czyli kozi serek wygrzewany, zamknięty w formę rurkowatą, nazwa na na-

sze się tłumaczy – kozia gęba i zostawiłem go na kilka dni codziennie obracając by serwatkę oddał. Potem obtoczyłem solą, dobrą bez jodu i gdy ją wchłonął na skórkę dałem suszone pomidory z bazylią. Ostatnim zaś clou było zawinięcie go w wyżej wymienione liście, związane rafią, która jedyna z tego zestawu niejadalna. Wszystko to przebiega w dziesięć dni, po nich cudo gotowe do Jędzenia. Nazwałem je z hiszpańska Encantado, bo pierwszą, która serek podała była

Bodega o tej właśnie nazwie, importer win z Półwyspu Iberyjskiego. Tam podawano go do win białych, nie za mocnych półwytrawnych. Tak jak go pamiętam zniknął w tempie ekspresowym z talerzy. Kończąc – życzę Wam Szanowni Czytelnicy by w tak samym tempie nie zniknął Wam czas, bo robi to bezpowrotnie i byście osiągnęli wszystko to co Wam w główkach na te Święta i Anno Domini 2017 kołacze! ■



Piję za Nowy Rok!



JULIUSZ BURGIN

*A gdy skołowani wstali tytani
a bladeść znaczyła im lica,
przyszli kompani, też utyrani
i pozdrowili w mowie Mickiewicza.
Więc dykteryjka bądź rubasznie wcale,
tu łyk wódeczki, tam skrzydełko kacze,
tu dyskurs przasne, to ściszone żale...
Kac się skończył, Nowy Rok się zaczął.*

Choć sam daję się oczywiście ponieść sylwestrowemu szałowi, kiedy się uspokoi, przychodzi refleksja. Właściwie nie bardzo wiadomo dlaczego wpadamy w histerię z powodu 24-ej godziny każdego 31-go grudnia? Data i godzina nie mają większego znaczenia, bo albo to obiektywna astronomia albo kwestia umowy, konwensansu. A tu takie emocje!

Podobne jest z urodzinami. Też ogarnia nas jakiś amok choć tak jak w przypadku Nowego Roku, nie bardzo zdajemy sobie sprawę o co chodzi. Świętować powinni właściwie rodzice, bo to ich wyczyn. A my? My się po prostu starzejemy.

Dotarcie do jakiegoś (jakiegokolwiek) punktu na osi czasu nie jest żadnym osiągnięciem, przychodzi samo. Więc take it easy, nie ma się czym ekscytować.

Doskonale rozumiem radość, nawet szaloną, nieokiełznaną, kiedy człowiek coś osiągnie, zdobędzie, wypracuje – skoczny

wyżej niż inni, napisze książkę, muzykę, wyda poemat, odkryje coś niebywałego, wymyśli niesłychaną teorię, zrobi film, teatr, zarobi milion, wykuje sobie dobry życia los lub choćby coś ładnego dla ozdoby... Słowem, kiedy czegoś dokona. Wtedy na miejscu jest radość, pijaństwo, szał i entuzjazm. Ale osiągnięcie punktu na osi czasu? Przecież wystarczy tylko poczekać, dożyć.

Można się oczywiście cieszyć, że się dożyło. Myślę jednak, że przy takiej okazji radość powinna mieć raczej charakter spokojnej satysfakcji, refleksji, może ulgi, (albo przerażenia, na przykład cierpiących). Spokojnej satysfakcji a nie furioso!

Czy to urodziny czy 31 grudnia – nie wiem czy jest się z czego aż tak nieokiełznanie radować. Przecież przyszłość skraca się wtedy o kolejny rok.

Bo co do mnie, to nie starość tak zasmuca, ale martwi mnie, że od życia do niebystwa co – raz mniej. ■

Polecam! Idealny świąteczny prezent (i nie tylko) dla anglojęzycznych przyjaciół (i nie tylko)



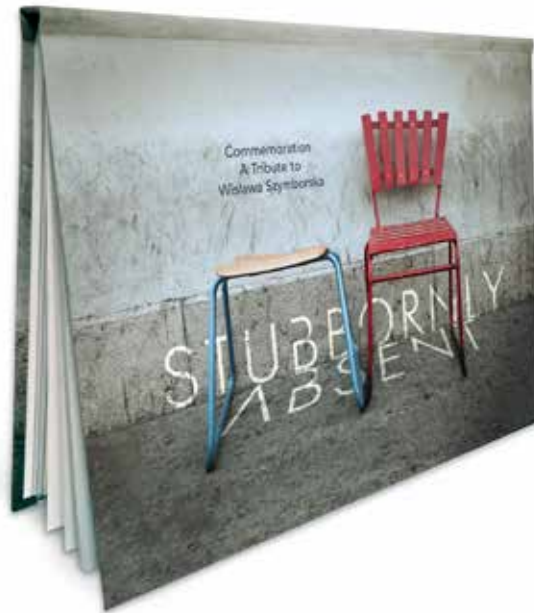
ANNA FRANÇOIS-KOS

To naprawdę niezwykła płyta. „Stubbornly Absent – „Commemoration – A Tribute to Wisława Szymborska” to tytuł pierwszego na świecie projektu muzycznego z poezją Wisławy Szymborskiej zaśpiewaną po angielsku. Muzykę skomponowali Katarzyna Klich-Płocica i Jarosław Płocica. Autorką świetnych tłumaczeń, z których część zrobiona została specjalnie dla potrzeb płyty jest znakomita tłumaczka Joanna Trzeciak – laureatka Heldt Translation Prize 2001, Griffin Poetry Prize 2012 i Found in Translation 2012, wykładowca na Kent State University.

Na połączenie wierszy z muzyką kompozytorzy otrzymali zgodę Poetki, a Fundacja Wisławy Szymborskiej objęła projekt patronatem. Prace trwały kilka lat. Wybór tekstów, tłumaczenia, kompozycje, aranżacje muzyczne pochłonęły masę energii i czasu. Jeszcze dłużej trwała walka o uzyskanie środków finansowych koniecznych do realizacji projektu. Poza wsparciem od sponsorów, projekt został również dofinansowany przez internautów na platformie crowdfundingowej Wspieram.to.

Płyta jest zaskakująca. Pełna uroku, ciepła, nieco melancholijna, eklektyczna. To fascynująca mieszanka dźwięków, pełna nowoczesnych rozwiązań muzycznych. Poezja śpiewana nieco w innym brzmieniu niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Melodyjna, ale pełna klasycznej elegancji. Twórcy płyty szukali inspiracji w swoich osobistych fascynacjach muzycznych. „Lubimy inspirować się brzmieniami z lat 80. Jesteśmy wielbicielami tzw. zimnej fali i elektronicznych brzmień”.

Niewątpliwie dużym walorem projektu jest jego gatunkowa różnorodność a jednocześnie brzmieniowa spójność. Te niekonwencjonalne, spektakularne w muzyce rozwiązania z pewnością spodobają się młodej publiczności, ale zachwycą także każdego miłośnika poezji i wielbicieli Szymborskiej.



Michał Rusinek o projekcie:

„Oto jawny dowód na to, że poezja Wisławy Szymborskiej sprawdza się także w warunkach muzycznych z pozoru dość odległych od jej poetyki. Talent i wyczucie kompozytorów oraz tłumaczki, zaowocowały mieszanką, która ma szansę dotrzeć do tych odbiorców, do których sama poezja dociera rzadziej. Jestem przekonany, że ten, komu się spodoba „Stubbornly Absent”, chętnie sięgnie po tom wierszy Wisławy Szymborskiej. Po polsku lub po angielsku.”

Adam Sztaba o projekcie:

„Przemysław Gintrowski opowiadał mi przed laty, że Zbigniew Herbert nie przepadał za „udźwiękawianiem” Jego wierszy. Poezja tego kalibru w istocie nie potrzebuje dodatkowego wsparcia. Lecz nie o wsparcie tu chodzi, tylko o prawdziwą symbiozę. Ten mocno odważny i karkołomny plan twórców płyty, by odnaleźć język muzyczny komunikujący się z poezją Wisławy Szymborskiej, w pełni się powiódł. Wyrafinowana elektronika, interpretacja, smak, tłumaczenia Joanny Trzeciak i wielobarwność tych utworów, to najwyższy światowy poziom. A poza wszystkim – termin „poezja śpiewana” od dawna zasługiwał na lifting.”

A mnie się śni, żeby twórcy nagrali tę płytę także w języku polskim!!! Gorąco polecam. Anna François-Kos

Do kupienia na www.stubbornlyabsent.com

Życzenia z Belgii...

A może spróbujemy złożyć sobie życzenia w klasycznej łacinie? Boże Narodzenie to po łacinie „Dies Natalis”, „Dies Nativitatis” lub „Nativitas”. Składając życzenia, trzeba dodać przymiotnik „Szczęśliwy” czyli „Felix”. Trzeba więc chyba najprościej powiedzieć: „Felicem Diem Natalis”, „Felicem Diem Nativitatis” lub „Felicem Nativitatem” dodając jednak nadal po łacinie „exopto” czyli „Życzę”. Mamy wtedy wyrażenie: Felicem Diem Natalis Christi tibi (vobis) exopto. Felicem Diem Nativitatis tibi (vobis) exopto. Felicem Nativitatem tibi (vobis) exopto. Zaimki „Tobie” i „Wam” należy oczywiście zamieniać w zależności od potrzeb. Aby dorzucić „Szczęśliwego Nowego Roku” wystarczy powiedzieć: „Natale hilare et Annum Faustum (tibi exopto)”.

Przypomnijmy też, że: Arbor natalicia to choinka, Vigilia Nativitatis to Wigilia, Vesper Sanctus też Wigilia, Christi Natalis to Boże Narodzenie.

A tak naprawdę, to wszystkim wiernym czytelnikom „Sceny Polskiej” życzę po prostu z całego serca pogodnych i radosnych świąt oraz szczęśliwego Nowego Roku!!!

ANIA FRANÇOIS-KOS

P.S. Zapraszamy do świątecznego stołu!

Ustatkowanie



JERZY SKOCZYLAS

Żona od lat prawila mi tyrały i kazania:
Ustatkuj się, bo robisz się wręcz nie do wytrzymania.
Zastanów się ile masz lat,
nie szalej, nie chojrakuj,
lecz na wstrzymanie sobie daj
i weź ty się ustatkuj.

Jak ty wyglądasz, przejrzyj się nicponiu i urwisie,
postukaj się w swój siwy łeb
i ustatkuj żesz ty się.
Palcami wytykają cię
ludzie po całym mieście.
Ty wzgląd na swoje zdrowie miej,
ustatkuj się nareszcie.

Dzieci cię proszą, ciocia, stryj,
nawet kuzynka mamy,
byś ty jak inni ludzie był,
byś był ustatkowany.
Gotowam na pielgrzymkę iść
do Gdyni lub Miechowa
żebyś ty opamiętał się
i w końcu ustatkował.

Miej ty sumienie, zlituj się
i pomyśl o rodzinie
i zaraz, tu, ustatkuj się
natychmiast, w tej godzinie.
Tracisz pieniądze, debet masz
i długów całe morze.
Ustatkuj się, błagamy cię,
ustatkuj się potworze!

Spójrz, ustatkował już się Krzyś,
twój stryjek z Polanicy,
choć był obrzępał, huncwot, łotr
i kawał pijanicy.
Popatrz, nasz sąsiad co się snuł
sciuchrany i nachlany
też całkowicie zmienił się

i jest ustatkowany.

Nawet się ustatkował Zdzich,
szemrana eminenca,
rzucił palenie, przestał pić
i włóczyć po agencjach.
Chcesz skończyć jak ostatni łach
pod mostem lub w areszcie?
Miej rozum! Opamiętaj się!
Ustatkuj ty się wreszcie!

I nadszedł historyczny dzień,
o rannym świcie wstałem,
umyłem zęby, wziąłem tusz
... i się ustatkowałem.
Widząc mnie przy śniadaniu syn
z miejsca się zorientował
i szepnął: Boże, czyżby cud?
Tata się ustatkował?

Ja na to: synu nie mów nic
i nie chwal się czasami.
Niech ten bolesny, smutny fakt
zostanie między nami.
Lecz gdzież tam, tajemnicy tej
ni chwili nie dochował
i ryknął otwierając drzwi:
Ojciec się ustatkował!!!!

Gruchnęła wieść jak z nieba grom
po zaskoczonym świcie,
a syn umieścił zaraz wpis
na fejsie w Internecie.
Żona ze sklepu właśnie szła
w wielkim zafrasowaniu
gdy ją dopadła owa wieść
o mym ustatkowaniu.

Pobladła, siadła, wstała i
upadła na kolana.
Chłop mi się ustatkował, więc
zostałam wysłuchana!
Od dzisiaj wszystko zmienię się,
zaczniemy żyć od nowa,
dzięki Ci Panie! Dzięki Ci!
Mąż mi się ustatkował!

A ja, już jako inny ktoś,
zupełnie mi nieznanym,
wyszedłem dziarsko w piękny dzień
– nowy, ustatkowany.
Mijałam knajpy, puby bez
zainteresowania,
bo nie znaczyły dla mnie nic
wskutek ustatkowania.

I nie kusiło wcale mnie
mijanych dziewczyn mrowie.
Mam to za sobą, jestem wszak
ustatkowany człowiek.
Szedłem dostojnie poprzez skwer,

Bywało że kroczyłem,
niosła mnie ozdrowieńcza myśl:
ustatkowany byłem.

Szedłem i szedłem, mijał czas,
szarzały już ulice,
gdy nieprzewidywalny los
rzucił mnie w okolice,
gdzie aura jakże bliska mi
i pejzaż dobrze znany,
gdzie snuje się znajomy tłum
ludzi ustatkowanych.

W knajpcie wonnego płynu łyk
nalał mi barman błądy...
... no cóż, ustatkowałem się,
lecz znowu bez przesady.

Danuta Ławniczak

Wieczór wigilijny

*Za choinką ośnieżoną
pierwsza gwiazdka mruga,
potem druga
i innych tysiące...
granatowe niebo skrzące
rozpostarło się nad światem,
Świat w ten wieczór opustoszał
ludzie skryli się w domostwach
tam świętują, celebrują, kolędują
i całują się pod jemiolą
by szczęśliwie było, by było wesoło!
Niechaj wszystkim się spełniają
chwil magicznych owe cuda
i świętujmy według życzeń
niebo wszak nad nami czuwał!*

grudzień 2016



Barwy ciszy

Jak powstała płyta



ALEK SILBER

Już nie pamiętam, jak narodził się oryginalny pomysł nagrania fragmentów prozy poetyckiej z podkładem muzycznym. Wydawało się, że wybrany tekst niesie pewien klimat i że przy odpowiednio dobranej muzyce może dać słuchaczowi poczucie kojącego piękna. Dla próby sam przeczytałem wybrany fragment do którego podłożyłem nastrojową muzykę Arvo Pärta. Oczywiście mojemu czytaniu daleko było do profesjonalnego wykonania, niemniej dało się już wyczuć pewien zamierzony nastrój. Dla próby postanowiłem sprawdzić, czy klimat ten będzie czytelny dla innej osoby. Akurat był u mnie Marek, poprosiłem go, żeby posłuchał. Siedział nieruchomo, a kiedy utwór się skończył powiedział – popatrz, ja mam łzy w oczach.

I tak się zaczęło. Zgodnie stwierdziliśmy, że trzeba z "tym" coś zrobić. Należało wybrać jeszcze kilka tekstów w tym samym klimacie, znaleźć aktora, kompozytora, wykonawcę muzyki, całość nagrać i zrobić płytę. Plan pozornie prosty w praktyce okazał się długą i ciernistą drogą, której przebrnięcie bardziej przypominało hollywoodzki thriller, niż proces twórczy.

Najpierw należało znaleźć aktora, najlepiej o pięknym głosie, dykcji i doświadczeniu w czytaniu poezji. Jedno nazwisko przychodziło mi na myśl – Krzysztof Koloberger. Jestem wielbicielem jego talentu, słyszałem i zachwycałem się jego recytacjami. Mieliliśmy już za sobą pewien dorobek współpracy, Krzysztof czytał fragmenty mojej prozy na spotkaniach autorskich w Polsce i w Niemczech. Robił to oczywiście doskonale, a jego partycypacja byłaby wielkim atutem w zamierzonym przedsięwzięciu.

Próbowałem zadzwonić. Raz, drugi, trzeci. Krzysztofa nie łatwo było złapać, zwłaszcza zważywszy na dziesięciogodzinną różnicę czasu pomiędzy Melbourne a Warszawą. Bo współpraca miała się rozwijać na linii Australia – Polska. Żeby nie było zbyt prosto. Po wielu próbach wreszcie udało mi się

go złapać. Spieszył się na próbę do teatru, a kiepska linia nie ułatwiała rozmowy. Wytłumaczyłem mu pospiesznie o co chodzi. Mój pomysł przyjął kurtuazyjnie – przyslij tekst – powiedział – zobaczymy.

Nim doszedł list i Krzysztof miał szansę zapoznać się z tekstami upłynęło kilka tygodni. Wreszcie udało mi się dodzwonić i z radością usłyszałem, że zgadza się zrobić nagranie. A więc początek był doskonały. Teraz należało znaleźć kompozytora i wykonawcę. Nie miałem pojęcia, gdzie zacząć. I tu, jakby wstąpiła jakaś siła wyższa, przypadkowo usłyszałem w radio bardzo ciekawą muzykę. Po utworze podali nazwisko kompozytora – Peter Mumme!

To rzadkie nazwisko, z Peterem byliśmy razem na studiach i przez lata utrzymywaliśmy bliskie stosunki. To musiał być on. Mimo skończonych studiów inżynierji-

dokomponowuje muzykę. I tu znów los okazał się łaskawy, za tydzień miał wrócić na stałe do Melbourne.

Dzwoniłem do niego z pewnym niepokojem. Wychodząc z domu przed laty odciął się od rodziny i wszystkich znajomych, chciał pozostawić ten rozdział życia za sobą. Czy dzisiaj zechce odnawiać porzucone kontakty? Od razu skojarzył moje imię, był nawet mile zaskoczony, a moja propozycja była dostatecznie interesująca, aby przyjąć zaproszenie.

Opisałem mu charakter projektu i włączyłem nagrany przeze mnie próbką. Wysłuchał uważnie chociaż polskiego tekstu oczywiście nie rozumiał, musiałem go zapoznać z treścią prozy. – Podoba mi się – powiedział – zrobię muzykę – i w ten sposób miałem już niezbędny zespół. Doskonały zespół. Należy dodać, że Peter, jak



nych, miał on serce w muzyce, jak widać z powodzeniem. Bardzo stateczny, niemal flegmatyczny, któregoś dnia zaszokował swoją rodzinę i znajomych. Jego żona była wtedy w ciąży z czwartym dzieckiem, nic nie wskazywało na jakieś problemy małżeńskie, przeciwnie, zawsze byli zgodną i harmonijną parą. Przynajmniej tak wyglądało. Aż do dnia, w którym powiedział, że odchodzi. Wziął małą torbę z osobistymi rzeczami i... wyszedł. Nie pożegnał się z nikim, po prostu zniknął. Miało to miejsce przeszło... trzydzieści lat temu.

Odnalezienie go po tylu latach nie było proste. Jedynym śladem jaki posiadałem był numer telefonu byłego kolegi Petera. On dał mi kontakt do byłej żony, aż wreszcie przez jej córkę dostałem telefon odnalezionego kolegi. Okazało się, że już od kilku lat mieszka na północy Australii wśród... Aborygenów. Tam nagrywa odgłosy australijskiego buszu, do których

to jest teraz dosyć powszechne, jest kompozytorem, wykonawcą i zarazem operatorem dźwięku i posługuje się profesjonalnym sprzętem. Miał już na swoim koncie kilka płyt z bardzo oryginalną muzyką.

Osiągnąłem wiele, ale nie wszystko. Należało jeszcze załatwić w Warszawie studio nagrań i znaleźć producenta oraz dystrybutora płyt. Tekst trzeba było przetłumaczyć na angielski, żeby Peter wiedział do czego pisze muzykę, natomiast znalezienie grafika do okładki nie było problemem. Raz jeszcze los uśmiechnął się do mnie, okazało się bowiem, że syn krewnego w Warszawie ma swój "band", jest ogólnie w kołach muzycznych, przez co ma dostęp do studia i może zorganizować produkcję płyt. Puzzle układanki zaczęły po woli wypełniać obraz, więc z zapałem zabrałem się do pracy. Tekst przetłumaczyłem i przedyskutowałem z Peterem tak, że mógł już zacząć komponować. I tu skończyła się moja dobra passa.

Najtrudniejszym zadaniem było nagranie Kolberga. Miał on mało czasu, studio było dostępne w ograniczonych godzinach, a kontakt utrudniony był dziesięciogodzinną różnicą czasu pomiędzy Warszawą i Melbourne, skąd usiłowałem to wszystko koordynować. Wreszcie mieliśmy termin, czwartek, 8 kwietnia 2005. Ta data okazała się bardzo istotna. Nagranie miało się rozpocząć o godzinie 22.00 czasu w Melbourne. Właśnie o tej porze byłem na kolacji u przyjaciół i nerwowo spoglądałem na zegarek. Zadzwoiłem w godzinnym poślizgiem spodziewając się, że już część nagrania będzie zrobiona.

Krzysztof w ostatniej chwili odwołał nagranie – powiedzieli mi w Warszawie. Powód? Nagle wezwanie do Watykanu, gdzie miał brać udział w ceremonii pogrzebu Jana Pawła II. Trudno by znaleźć ważniejszą przyczynę. Należało poczekać do powrotu i ustalić kolejny termin. Proste. Tak by się wydawało. Okazało się jednak, że po powrocie Krzysztof źle się poczuł. Dokładne badania wykazały powrót raka po dwudziestu latach spokoju. Niestety stan był bardzo poważny, choroba rozprzestrzeniła się na wiele organów i wymagała natychmiastowej operacji. Prognoza nie była dobra, lekarze dawali choremu dziesięć procent szansy, że wyjdzie ze szpitala frontowymi drzwiami. Operacja była wyznaczona na poniedziałek,

w sobotę Krzysztof się zdecydował zrobić nagranie. Tragiczne okoliczności przysłoniły radość tego wydarzenia.

Nagrany materiał należało przesłać z Warszawy do Melbourne i to prędko. Mieliśmy małe okienko czasu. Płyta musiała być gotowa w czerwcu inaczej jej wydanie przesunęło by się na październik, co ciągnęło za sobą dalsze komplikacje. Pliki z nagraniami były ogromnych rozmiarów, co wymagało odpowiedniej techniki przesyłki przez internet. Potrzebne były specjalne programy i zapoznanie się z procedurami. Wolne łącza wymagały aż pięciu godzin na przesłanie jednego tekstu, zwykle robiło się to nocą. Mimo to większość podejść kończyła się fiaskiem i trzeba było powtarzać każdy plik od początku, a plików było pięć.

W końcu udało się ściągnąć wszystkie teksty i Peter mógł podkładać muzykę. Jeszcze ostatnie poprawki, uzupełnienia, zmaganie się ze standardami nagraniowymi i wreszcie mieliśmy oryginał. W międzyczasie koleżanka zaprojektowała okładkę i całość powędrowała do kuzyna w Warszawie, który przekazał materiały do produkcji.

Dwa tygodnie przed promocją byłem w Warszawie. Krzysztof przyszedł do mnie na herbatkę, przyniósł ciasteczka, ale sam nie mógł jeść ani ciasteczek ani pić herbaty. Poczęstowałem go przegotowaną wodą. Schudł i "wybidniał" nie do poznania. Wy-

cięto mu połowę organów, niemniej potrafił się zdobyć na uśmiech, smutny, ale uśmiech. Nie wiedział, czy przyjdzie na spotkanie, założy jak się będzie czuł.

Płyty miały być gotowe na tydzień przed promocją w Domu Księgarza na Starym Mieście. Okazało się jednak, że są opóźnienia. zaczęły się telefony, prośby, zaklinania, przeklinania... Pudła z płytami przywiozła taksówka dwie godziny przed promocyjnym spotkaniem. Do końca nie wiedzieliśmy, czy Krzysztof przyjdzie. Przyszedł.

Usiadł z nami na podium i w pewnym momencie podszedł do mikrofonu z płytą w rękę. Na sali zapanowała grobowa cisza.

– ...Tę płytę nagrywałem dwa dni przed operacją i ten tytuł „Barwy czyste” był również i dla mnie bardzo ważny, zwłaszcza ta cisza. W pewnych momentach w czasie nagrywania miałem takie poczucie odpływania. Nie ukrywam, że pewne zdania, pewien fragmenty tekstu gdzieś się wpisywały w mój nastrój, w moje myślenie i te „Barwy czyste”, to nagranie było dla mnie bardzo ważne z tego względu, spowodowało, że wyszedłem wyciszony. I jeśli takie coś się przydarzy słuchającemu, to będzie to nasz wspólny sukces...

Krzysztof i Peter żyją na płycie w artystycznej harmonii, chociaż w życiu się nigdy nie spotkali. I nie spotkają. Niestety.

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok już za chwilę



Grzegorz Worwa i Konsul RP w Nowym Jorku - Katarzyna Pađło

fot. W. Maślanka

Dla Redakcji i Czytelników,

Z bardzo serdecznymi życzeniami ciepłych, zdrowych dni i sukcesów, tak w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

Z Nowego Jorku,
GRZEGORZ WORWA



Życzenia z Rygi

Abyśmy już od dziś mieli wielką ochotę na bliższe kontakty wzajemne wśród Polonii w świecie, na radość z sukcesów naszych przyjaciół, bliskich, naszej Rodziny, Polski!

Życzę, aby 2017 rok przyniósł radosne i udane dni, a jeśli będą jakieś trudności – niech będzie w nas tyle pomysłów i tyle energii, aby je zwyciężyć!

IRENA LIEGENIECE
RADIO „NASZ GŁOS” ŁOTWA

Para królewska w Krynicy w 1937 r.

MARZENA DRZEWIŃSKA-SOON

Rok 2017, to ważny rok w kontaktach polsko – niderlandzkich. W tym roku obchodzona jest 80 rocznica ślubu: „Juliana Louise Emma Marie Wilhelmína, Prinses der Nederlanden, Prinses van Oranje-Nassau, hertogin van Mecklenburg” z „Bernhard Friedrich Eberhard Leopold Julius Kurt Carl Gottfried Peter Graf von Biesterfeld”, który dzieciństwo i młodość spędził w majątku Wojnowo, w Wielkopolsce.

Miodowy miesiąc państwo młodzi postanowili spędzić w polskim kurorcie Krynica! To był ogromny szok i zaskoczenie dla całej Europy, a w Polsce – szaleństwo! Wszyscy spodziewali się podróży do Tyrolu. Jednak młodzi w poszukiwaniu odrobiny intymności i wolności od dziennikarzy i innych natrętów wybrali nieznaną na dworze holenderskim Krynice.

Książę Bernhard miał wielu znajomych wśród Polaków. Ignacy hrabia Mielżyński, właściciel majątku w Iwnie, był ojcem chrzestnym brata ks. Bernharda. I to właśnie z Wielkopolski padła propozycja odwiedzin tego właśnie miejsca. A konkretnie piękny, nowoczesny i luksusowy, nowo wybudowany za kwotę 3 mln dolarów (!) pensjonat „Patria” gdzie zajmują pokoje 101 – 103. Jego właścicielami byli: „Król Tenorów” – Jan Kiepusza i jego świeżo poślubiona żona, „Maria Callas operetki” – Marta Eggerth.

Państwo młodzi, uciekli po cichu z Paleis Noordeinde samochodem, z wtajemniczonym we wszystko kierowcą do Brukseli, gdzie wsiadają do pociągu do Berlina. Dalej przez Wrocław docierają do Tarnowa, gdzie odbiera ich przygotowany przez „dom holenderski” samochód, który przywozi ich 9 stycznia do Krynicy. Dla zmylenia reporterów, ich bagaże jadą do Budapesztu! Podróżujących incognito, jako hrabiostwo „von Sternberg”, nowożeńców, już 13 stycznia odwiedza radca MSZ, Szczęsny Zalewski, wręcza bukiet róż i mimozy, co zakończyło incognito pary książęcej. Niemniej jednak, księżniczka Juliana spędza w Krynicy najpiękniejsze dni w życiu: jest zakochana, kochana i wolna od konwenansów!

Oczywiście od momentu pojawienia się przedstawiciela rządu i ujawnienia tożsamości tajemniczej pary, zaczyna się wokół nich zamieszanie, na tyle duże, że zaproponowano im przenosiny do tzw. „Dyrektorówki”, miejsca osłoniętego ogrodem, ogrodzonego, w której podczas wizyt w Krynicy zatrzymuje się m. in. prezydent i marszałek



Rydz – Śmigły. Jednak oni wybierają towarzystwo artystów i zostają w Patrii. Prosi się więc przedstawiciele mediów o danie młodym odrobiny wolności. Organizowana

jest konferencja prasowa, sesja fotograficzna i – teoretycznie – nowożeńcy mają czas dla siebie. Bawiono się znakomicie! Zaplanowana na kilka dni pobyt przedłużył się do miesiąca.

Krynica, to nie tylko kurort i uzdrowisko, źródła znakomitej wody mineralnej, m.in. takiej, która pozytywnie wpływa na płodność (wśród mieszkańców Krynicy, do tej pory mówi się o tym, że to dzięki jej spożywaniu I jej walorom, małżonkowie tak szybko doczekali się zdrowej córeczki, księżniczki Beatrix!), ale i znakomite tereny narciarskie! Dlatego w ciągu dnia jeżdżono na nartach, łyżwach, bawiono się jak dzieci śnieżkami, odbywano przejażdżki saniami i spacerowano po kurorcie. Książę Bernhard była zapalonym fotografem i filmowcem amatorem, dzięki czemu w archiwach w Het Koninklijk Huisarchief Paleise Noordeinde znajduje się znakomita dokumentacja tych wszystkich wydarzeń.

Sam książę, został też zaproszony przez hrabiego Stadnickiego, właściciela ziem sądeckich od Nawojowej – gdzie znajdu-



Mapa pokazująca podróż królewskiej pary.



je się, istniejący do dziś, jego pałac – przez Piwniczną, Rytko do Szczawnicy włącznie – na polowanie. Niestety, ks. Juliana zaniemogła i musiała kilka dni spędzić w łóżku.

Aby umilić pobyt państwa młodych, dyrektor Uzdrowiska, inż. Nowotarski, zorganizował w Krynicy zawody hokejowe, na które zaproszono również zespół z Holandii. Książę Bernhard miał rzucić na ich rozpoczęcie krążkiem! Organizowano bale (w tym także przebierańców), koncerty oraz wycieczki. Porozumiewano się w języku polskim – nawet następczyni tronu nauczyła się kilku słów w naszym języku – i po niemiecku. Zwiedzano okolicę: Jaworzynę Krynicką, Tylicz, Nowy Sącz, Zakopane, Wieliczkę i Kraków. Do Krynicy zjechała się też śmietanka towarzyska. Oprócz przyjaciół Mielżyńskich, wspomina się o Czetwertyńskich, Czartoryskich oraz

oczywiście goście, którzy choć przez chwilę chcieli otrzeć się o blichtr wielkiego świata i mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby zrobić sobie zimową ferię! Byli reprezentanci wielkiej finansjery i przedsiębiorcy. Natomiast, szacowni goście, postrzegani byli jako ludzie bardzo pogodni i bezpośredni. Nie stronili od pozostałych gości hotelowych i wraz z nimi spożywali posiłki: o 10.00 śniadanie i 13.00 obiad. Starali się nie „wykorzystywać” nadmiernie personelu i sami nalewali sobie kawę czy herbatę oraz nosili narty! Świadczy też o tym obdarowanie małżonków bukietem holenderskich tulipanów, przekazanym przez 2 dziewczynki w strojach ludowych. Obie, starsze już Panie, do dnia dzisiejszego, opowiadają o tym niezwykłym wydarzeniu.

W zawiązku z codziennymi telefonami do Holandii i chorobą Juliana, plotkowano

też o wizycie królowej Wilhelminy. Podobnie wspomniano o wizycie ex – króla, Edwarda VIII, księcia Windsor, w Krynicy. Niestety, skończyło się tylko na pobożnych życzeniach!

Prasa na całym świecie pisała o Krynicy. Nigdy przed tem i nigdy potem, nie poświęcono w prasie tyle miejsca naszemu Kurortowi. Pisali o nim dziennikarze od Holandii po komunistycznego Związku Sowieckiego, przez Francję, Niemcy, Włochy, Monaco, po Wielką Brytanię. Wszyscy chcieli wiedzieć, gdzie leży to niewielkie, urokliwe miasteczko. W prasie pojawia się wszystko i wszystkie związane z parą księżęcą wydarzenia i zdjęcia: od fotografii z Białym Misiem, po opis personelu i pokoi hotelowych. Ale o tym może w następnym odcinku! ■

Szczęśliwe święta

ZOFIA

SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Szczęśliwe dzieciństwo i święta jak z bajki. Na dodatek, prawie zawsze był śnieg.

Do wspomnień sprowokowały mnie teksty Tadeusza ze Sztokholmu i Joli z Delft. Rozmarzyłam się i przez chwilę znów byłam małą dziewczynką. Wróciłam na chwilę jako mała Zosia do naszego mieszkania w kamienicy przy Półwiejskiej w Poznaniu. Odnosząc się do wspomnianych tekstów, porównuję jak to było w moim domu. Ponieważ w naszej kamienicy nikt nie miał balkonu, wcześniej kupioną choinkę trzymaliśmy w piwnicy, w wiaderku z wodą, obok węgla. A w mieszkaniu, na starym bufecie, na wykrochmalonej i wyprężonej serwetce, stała kryształowa miska pełna pomarańczy, pierników i jabłek, które dokładaliśmy, żeby uzupełniły skromną ilość południowych smakołyków. Przystawiałam ryczkę (stołek), wspinałam się na nią i oglądałam, bo przysmaki jeść można było dopiero po Wigilii.

Czy młodzi uwierzą mi, że w tych czasach opisywanych jako „ponura komuna” nasze święta, choć uboższe w towary, były szczęśliwe? Co zatem się stało? No stało się, jesteśmy ludźmi cywilizacji 21 wieku. Wstrząsające wiadomości ze świata nie docierały tak szybko do naszych domów w których nie było telewizorów i...internetu (co za futurystyczny pomysł!). O tym co tam panie w polityce, o wojnach, które zawsze gdzieś się toczyły, rodzice dowiadawali się od sąsiada mijanego na schodach, z radia, a wiadomości z kraju uzupełniała stacja radia Wolna Europa i ta nia gazeta nabywana w kiosku. Opłacało się



Mała Zosia ze starszą siostrą

ją kupować, bo potem można było rozpalić nią w piecu, albo wykorzystać jako papier pakunkowy i toaletowy. Przeczytana gazeta zastępowała też termos, zawijano w nią butelkę po lemoniadzie, wypełnioną gorącą herbatą z mlekiem, z ceramicznym zamknięciem jak w dzisiejszej butelce piwa Grolsch.

W święta gazeta była bogatsza niż zwykle i trzeba było po nią ustawić się skoro świt w kolejce przed kioskiem. Była grubsza, w środku był kalendarz na nowy rok, horoskop i później też (gdy był już telewizor) program TV na święta. Kto nie załapał się na gazetę, pożyczął potem od sąsiada i przepisywał ołówkiem na kartce papieru najciekawsze punkty programu, aby ich nie przegapić.

Pamiętam jeszcze, że w pierwszy dzień świąt telewizja pokazywała najnowsze filmy Disneya. Wskakiwałam w piżamie z łóżka i pod kocem na podłodze, oglądałam z siostrą bajkowe animacje i na które czekało się cały rok. Muzyka z czołówki filmowej jeszcze teraz brzmi w moich uszach.

Niespodzianki. Tak, to chyba urok Świąt Bożego Narodzenia, poczawszy już od prezentów pod choinką w wieczór wigilijny, całe święta przynosiły mniejsze lub większe niespodzianki.

Zatem szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia i Do Siego roku, pełnego miłych niespodzianek! ■

Koty, psiaki i dzieciaki

(fragmenty książeczki)

JULIUSZ BURGIN

Zamiast wstępu

Nie tak dawno przydarzył mi się wylew krwi do mózgu. Nie najcięższy przypadek, ale poczynił jednak pewne spustoszenia w mojej głowie. Pomysł i ochotę napisania historyjek o kotach, psiakach i dzieciakach miałem jeszcze przed wylewem. Długo zwlekałem zanim zabrałem się znowu do pisanania. Nie ufałem już swojej głowie. Lękałem się, że mój język będzie teraz ubogi, nie oddający tego co chciałbym wyrazić. Życzliwy przyjaciel skłonił mnie jednak. Więc się zabrałem do pracy. Mam nadzieję, że dzielko się jednak powiedzie.

Mój pierwszy pies Bartłomiej, Bartek

Bartek był Polakiem. Znalazła go, zagubionego w Warszawie, matka żony, no i „wcisnęła” go nam, czego zresztą nigdy nie żalowaliśmy. Poświęciłem Bartkowi cały tomik wierszo-prózek zatytułowany „Bartek i ja”.

Tu wspomina Bartka jeszcze inaczej. Podobnie jak w zbiorze „Bartek i ja”, tu też dają się psu wygadać:

Spacer

Generalnie rzecz biorąc, mamy ustalone cztery rodzaje spacerów. Pierwszy jest najprostszymi i nazywam go rundką karną. Dlatego, że jest taki krótki, nijaki jakiś... A więc: z domu w prawo, do pierwszej w prawo, potem znowu w prawo i w prawo i jesteśmy w domu. W sumie nic nadzwyczajnego.

Drugi rodzaj polega na tym, że mijamy kilka przecznic, ocieramy się o zieleni i wracamy inną drogą.

Trzecia rundka zawiera dużo zieleni. To już jest lepsze – trwa dłużej, jest trawa, są krzaki, drzewa, czasem koty, króliki... Znajomych się spotka...

Czwarty typ spaceru jest najlepszy – wyjazd samochodem w świat, wyprawa. Tłukę się co prawda kawał drogi w rozgrzanym aucie, ale co kilka dni nowe okolice, nowe psy, nowi ludzie... Z drugiej strony, wcale nie łazimy

wtedy razem. Ot, drzwi są otwarte, żadnych linek, jestem wolny. Jednakże..., nie umiem tego wytłumaczyć ale dopiero wspólna przechadzka, to jest to! Nawet niewiele do mnie mówi, nie musi nawet rzucać patyka. Ot, idziemy ogólnie w tym samym kierunku, zerkając na siebie na zasadzie: widzę cię, jesteś, dobrze.

Czasem, zajęty własnymi sprawami, myślami, różnymi zapachami, zapędzę się setki metrów w las. Wtedy zaczyna się gwizdanie, nawoływanie, aż żal letniej ciszy.

Ostatnio jest lepiej. Przystaję na rozdrożu i patrzę. Wskazuje ręką i już wiem gdzie idziemy. Zaczynamy dogadywać się bez słów.

List z drogi

Bardzo długo trwało, kochani, zanim dojechaliśmy. Stawaliśmy po drodze dwa razy. Raz on sikał, więc też sobie ulżyłem. Drugim razem tak, z przeproszeniem pań, gwizdziło (a i deszczem zaczynało), że mi się odechciało.

Nawet nie wiedział dokąd jedzie. Co trochę stawał i zaglądał w mapę... Dojechaliśmy w nocy. Na dworze pachniało ładnie, mokro.

Ze spaceru już nic nie wyszło, bo marzył, kłął i odmawiał. Potem kokosił się do spania. Przeszawiał graty, przerzucał szmaty, przeganiał mnie z miejsca na miejsce; pies

by z tego zgłupiał. Myślałem, że chodzi o ścisły rozdział a tu proszę: zaproponował mi kawałek łóżka. Skorzystałem.

Spało się cudnie, mocno i bez snów. Zbudziłem się rześki i zacząłem ściągać z niego koc. Żeby go zbudzić ale też... no, lubię go liznąć.

Z lizaniem sprawa nigdy nie jest pewna i często tracę głowę. On nie bardzo lubi tak zwane długie lizy, a przecież czasem poczuje się pies niepewnie, albo zalewa go czułość no i chciałoby się przytulić i wylizać...

Wydziera się, kiedy przesadzę. To znaczy – on na mnie nie krzyczy, ale ja już wiem, kiedy mówi, jakby krzychał. Pędza mnie wtedy na przykład na... polowanie (sic!), każe być dzielny?...

Po śniadaniu poszliśmy w świat. Obroży z medalikami mi nie założył. Że brzęczy i „płoszę sobie zwierzynę”. Ja i tak wszystko płoszę, bo nie mogę się powstrzymać i wyszczekuję na całe gardło.

Trzy razy, TRZY RAZY wracaliśmy. To wspominał pieniądze, to po jakąś flaszeczkę, to jeszcze po coś. Wreszcie wyruszyliśmy. Nie mogłem go namówić na rzucanie patyka, ani żeby ze mną biegał. Może się starzeje? Ale niczego nie zabrania. Tylko piłki nie dał mi we wsi porwać. Że jakaś dziewczynka pa-trzy. A bo to dogoni?

Doszliśmy do wody. Ludzie na ogół z wodą nerwowi, bo oczywiście kapie z nas

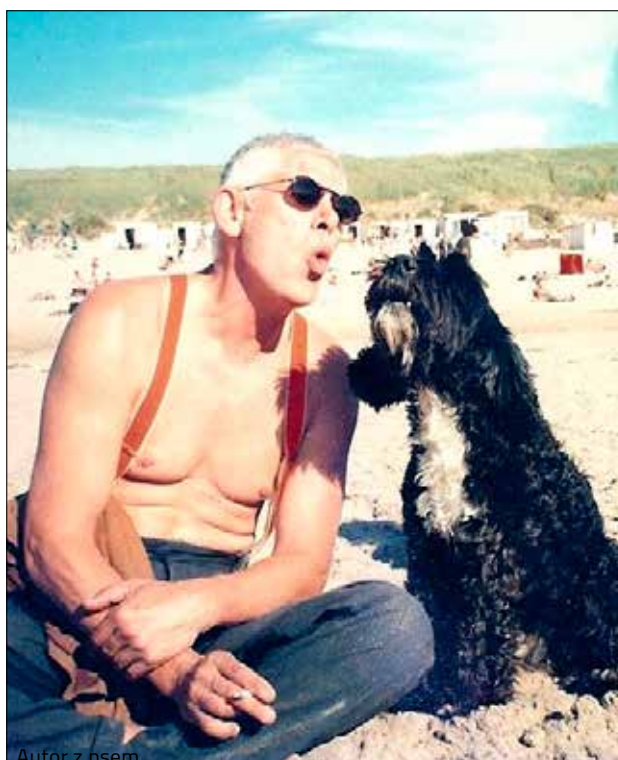
na wszystkie strony. On nie, więc wąż, pływam. Uśmiecha się.

Na łące pogoniłem krowy, koniki. Konie czemuś mnie irytują... Zajęcy ani śladu. Donoszę wszystkim mieszczuchom, że biega się teraz po polach wygodnie; to co rośnie jest zielone, niewysokie, miękkie i pachnące. Ozimina?

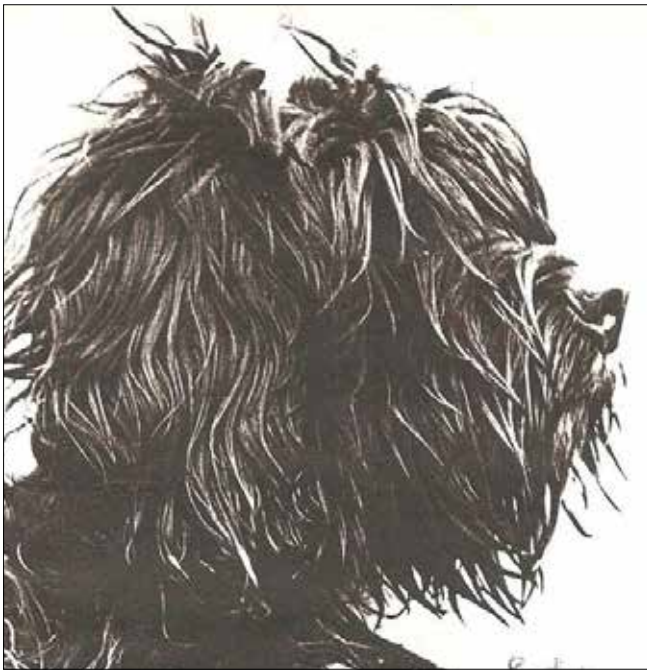
Potem było miasteczko i rozpadło się. W miasteczku weszliśmy do kawiarni. Ludzie w czasie deszczu nie bardzo lubią psa. Ale spoko – on wypił kawę, kieliszek, ja miskę wody, chrupnąłem herbatnika i zaczęliśmy wracać.

Do busa doszedłem wykończony. Chciałem się walnąć do łóżka ale się rozdarł. Zdezorientowany chyc i popačkałem prześcieradło. Dostałem w nos. Nie mocno ale gdyby pies nie miał takiego releksu...

Potem zjedliśmy kolację, a teraz mu dyktuję ten list. Oczywiście mi się



Autor z psem



Pies Bartek

kleją, chce mi się bekać. Coś zre mnie w zadek. Będę kończył. Sto lizów i łapa. Hau!

Narodziny Fruzi

Bartek dobiegał piętnastki. Prezentował się doskonale. Kręcone kudły, dość żywe oko (ukrywał, że trochę ślepił; miał wysmienity nos). Truchtał lekko, godnie, był niezależny i uuuch... jaki przystojny! Przewaliliśmy go Marcello (od Mastroianniego).

Teraz był na dworze. Coś długo nie wraca (kiedy wraca – drapie w drzwi). Wyglądam na ulicę a tam, dwa domki w lewo (8-10 metrów), Bartek kocha się z Sarą, której połową stoi w otwartych drzwiach swojego domu. Śliczna sunia, ani słowa. Owczarek border-collie. Wielkości Bartka, trochę dłuższy włos, falisty. Maść biało-czarna, nie za spi-czasty pysk, mądre oczy, uszy miękkie, uważne. Wspaniały ogon, w tej chwili – na stronę.

Bartek się biedzi a wokoło biega Jasper, syn Sarki z zeszłego roku. Szczeka, podskakuje i co i raz to łapie Bartka za ogon... Bartka rozrywa na dwoje: tu miłość, czułości a tu wściekły na Jaspera! Warczy, wierzga i widać, że nie ma frajdy.

W drzwiach, tuż obok miłosnej sceny oparty o framugę stoi Herbert, właściciel Sarki. Pokrzykuje ze swoich drzwi: „no i co?” Herbert odpowiada: „niech się natura spełnia.”

Nikt więc naturze nie przeszkadzał i po jakimś czasie idziemy z Dorotką po należne nam szczenię. Przy piecu wielki kosz a w nim Sara i pięć kotletów z różowymi łapkami i pyszczkami. Cztery z pędzelkami, maści głównie białej i jedna suczka, wykapany Bartek. Czarniutka i nawet białe wabiki – krawacik i skarpetki – miała jak Bartek. Nasz wybór był oczywisty.

Ale Herbert-naturyszczyk powiada: „Sarturn się z Jowiszem nie zgadzają, układy

dają rady. Muszę chodzić do pracy i zostaje sama. Ma ogródek, więc nie nasika w domu ale nudzi się. Buty mam, proszę ciebie, pogryzione, gazety postrzępione a ostatnio wlaża na półkę ze szkłem i zepchnęła wszystko – szklanki, kieliszki... Doszło do tego, że zacząłem, idąc do pracy, przywiązywać ją do nogi od łóżka. Ale przecież nie mogę tego robić! Ona się męczy, to i ja się męczę, nie mówiąc o pobitych szklankach... Chciałbyś ją jeszcze?”

Pewnie! Nazwaliśmy ją Fruzią, bo to imię i polskie i takie figlarne. „Żaden Holender porządnie nie wymówi” – zauważyła na marginesie Dorotka. Później, kiedy się ładnie ukształtowała, przewaliliśmy ją między sobą Zośka, od Loren. Mieliśmy więc Mastroianniego i Loren.

niebieskie są do dupy, nic nie pasuje. Ascendencja do kitu, nie mówiąc o Zodiaku. Nie dam suni!”

Szczęki nam opadły, no ale co mieliśmy powiedzieć?

Ale Jaap, mój sąsiad o dwa domki w prawo, mimo niepomysłnych konstelacji, sunię dostał. Nazwał ją Tara.

Tara rosła na moich zazdrosnych oczach na zgrabnego, wesołego szczeniaka. Była po matce gibka i szybka a po ojcu – piękna.

Minęło z pół roku. Któregoś dnia Jaap podszedł do mnie: „ciągle jeszcze chciałbyś Tarę? Nie

Pies lepszy od żony

(tytuł oryginalny: „Why some men have dogs and not wives”)

Im później wracasz, tym pies jest szczęśliwszy.

Pies nie zauważa, jeśli zwrócisz się doń imieniem innego psa.

Pies lubi, gdy porozrzucasz rzeczy po podłodze.

Rodzice psa nigdy nie przychodzą z wizytą.

Pies nie ma nic przeciwko temu, gdy podnosisz głos, by przekonać o swojej racji.

Na psa nigdy nie musisz czekać. Gotów jest do wyjścia 24 godziny na dobę.

Pies uważa, że jesteś zabawny, kiedy jesteś „na bańce”.

Pies bardzo chętnie wybierze się z tobą na ryby czy polowanie.

Pies nigdy nie wyrwie cię ze snu by spytać: „a jeśli umrę, to weźmiesz sobie innego psa?”

Kiedy twoja suka ma małe, możesz spokojnie dać ogłoszenie, że masz szczeniacki do oddania.

Pies pozwoli złożyć sobie obrożę (nawet kolczatkę) nie nazywając cię zbrojeńcem.

Kiedy pies wyczuje na tobie innego psa, nie wścieknie się. Wręcz przeciwnie – uważa to za interesujące.

Pies lubi jechać na skrzyni twego pickupa. Żona nie bardzo.

Kiedy pies cię opuści, nie zabierze połowy twoich rzeczy

Aby sprawdzić prawdziwość powyższych stwierdzeń, zamknij żonę i psa na godzinę w garażu. Po otwarciu przekonasz się, kto będzie szczęśliwy, że cię widzi.



Odeszła Elżbieta Dmochowska

W Brukseli, 3 grudnia 2016 roku, po długiej i ciężkiej walce z rakiem zmarła Elżbieta Orzechowska. W środowisku polonijnym znana była przede wszystkim jako żona znanego korespondenta telewizji i prasy polskiej, Marka Orzechowskiego, autora książek „Holandia. Presja depresji”, „Belgijska melancholia” „Zdarzyło się w Berlinie” czy „Mój sąsiad islamista. Kalifat u drzwi Europy”.

Elżbieta była znaną i popularną w Polsce aktorką. Aczkolwiek była niezwykle utalentowana muzycznie i swój pierwszy koncert fortepianowy zagrała w wieku 12 lat pod dyr. Jerzego Wilkomirskiego w Szczecinie, to karierę muzyczną porzuciła dla aktorstwa.

Elżbieta Dmochowska ukończyła PWST w Warszawie w 1970 roku. Jeszcze w szkole teatralnej zagrała postać Warii w „Wiśniowym sadzie” Antoniego Czechowa.

W latach 1972-73 była aktorką Teatru Rozmaitości w Warszawie, potem w sezonach 1974-1976 w Teatrze Komedia w Warszawie.

W znanym filmie „Prom do Szwecji” zagrała rolę Jolanty, bylej dziewczyny Zadry. Była Hanną Tal, dziennikarką radiową w filmie fabularnym „Dźwig” (1976), Mirką, uczennicą Wilczewskiego w miasteczku w filmie „Pejzaż z bohaterem”.

Grała także w spektaklach telewizyjnych „Czwartek” (1977), „Przed burzą” (1977), „Odyna” (1974). Była między innymi: Leną



Elżbieta Dmochowska

fot. archiwum rodzinne

Wirską w spektaklu „Śmierć w samochodzie” (1974), damą dworu – Szarmianą w „Cezarze i Kleopatrze” (1972), aniołem w „Demonie” (1971), w serialach „07 Zgłoś się” (1976), „Dyrektorzy” (1975).

Próbowała też sił jako asystent reżysera przy filmie „Les Mille” (1995), spektaklach telewizyjnych „Balladyny” (1993) i „Ulicy Krokodyli” (1992).

Na studiach związana była z aktorem, Karolem Strasburgerem, który zresztą po

latach wspominał w jednym z wywiadów: „- Aktorem został Pan z miłości... - To prawda, chociaż wcześniej miewałem już takie mrzonki. Kiedy jednak poznałem Elżbietę Dmochowską, która była wtedy na pierwszym roku szkoły teatralnej, i zakochałem się w niej, wszystko się zmieniło. To ona zaraziła mnie aktorstwem, podtrzymała na duchu, wierzyła we mnie”.

Aktorstwo porzuciła dla telewizji – przez kilka lat była popularną spikerką TVP 2.

Telewizję porzuciła dla Marka Orzechowskiego. Podczas stanu wojennego, w 1982 r. przyjechała do niego do Niemiec, gdzie pracował jako korespondent telewizji i prasy polskiej. W chwili małżeństwa przyjęła jego nazwisko i zrezygnowała z kariery zawodowej.

Kochała zwierzęta i czas swój poświęcała ich ochronie. Jej pasją była Afryka.

Z niewiarygodną siłą woli znosiła los przeznaczenia. Jak mówił Marek tuż po jej śmierci: „Ela ma piękną twarz, dostojną i szlachetną. Odeszła po strasznej chorobie, ale bez bólu i cierpienia. Dziękuję Jej za każdy dodatkowy dzień, który podarowała nam swoją odwagą, dzielnością i determinacją”.

Pożegnanie Eli miało miejsce w Brukseli 12 grudnia o 11.30 w krematorium w Uccle. Pogrzeb odbył się 21 grudnia, w Warszawie, na Powązkach.

ANNA FRANÇOIS-KOS

Marku, w imieniu redakcji składamy Ci najszczerze kondolencje. W tej ciężkiej dla Ciebie sytuacji jesteśmy z Tobą...



Elżbieta Dmochowska

fot. Romuald Pieńkowski

Seniorzy filmują

KRZYSZTOF WODNICZAK

Zwyczaj organizowania międzynarodowych festiwalu filmowych stawał się – szczególnie po II wojnie światowej – coraz powszechniejszy. Słowo „festiwal” jest pochodzenia angielskiego, lecz jego źródło tkwi w łacinie, od przymiotnika *festivus*, co oznacza świąteczny. Tak więc festiwale są świątecznymi uroczystościami (ten o którym piszemy odbywał się w okresie przedświątecznym), przeglądami osiągnięć w rozmaitych dziedzinach sztuki – w muzyce, malarstwie, teatrze, literaturze: szczególnego znaczenia nabrały jednak festiwale filmowe.

Wynika to z kilku przyczyn. Przede wszystkim film był od samego początku sztuką o charakterze międzynarodowym.

Gwałtowny rozwój sztuki filmowej odbywał się w drodze międzynarodowej wymiany doświadczeń artystycznych, a nawet sam wynalazek kinematografu powstał za sprawą techników i uczonych różnych państw. Stąd też w filmie najsilniej występuje dążenie do konfrontowania osiągnięć różnych technik, porównywanie wyników, wzajemnego wymieniania doświadczeń.

Przyczyna ta jednak nie jest decydująca. Daleko donoslejsza jest druga okoliczność, a mianowicie, że film jako sztuka zrozumiała jest dla wszystkich, nie wymagająca – jak np. literatura czy teatr – skrupulatnych przekładów na języki obce, najszybciej stworzył sobie międzynarodowy rynek.

Dotyczy to zarówno festiwalu z tradycją i dorobkiem co najmniej sześćdziesięcioletnich, jak i takich, które mają za sobą jedną edycję. Jak więc można potraktować

w tym katalogu festiwalowym VII Festiwal Twórczości Filmowej i Fotograficznej Osób Dojrzałych 60 plus WYŚCIG JASZCZURÓW? Myślę, że dorównuje on tendencjom ogólnosiwiatowym, lecz zdecydowanie wyróżnia się poprzez swój pełnowymiarowy obraz jaki zapewniają jego twórcy. Są nimi bowiem nieprofesjonalni reżyserzy, seniorzy, którzy stanęli za kamerą niekiedy po raz pierwszy. I swoje kilkuletnie nawet prace wystawili na publiczne projekcje.

Na tegoroczne konfrontacje wpłynęło 20 filmów o bardzo rozległej tematyce i czasie od 60 sekund do 60 minut. Publiczność i jury studenckie – na dialektycznej zasadzie przeciwieństw – oceniały po swojemu te produkcje. Może też na zasadzie solidarności międzypokoleniowej nagrody zbiegły się i nastąpiła częściowa integracja międzypokoleniowa. ■

Siódmy Festiwal Filmowy „Wyścig Jaszczurów” już za nami

BOGUSŁAW KRUPSKI

Do przeglądu festiwalowego, w dniach 8 i 9 grudnia 2016 wystartowało 16 filmów. Były wśród nich filmy sklasyfikowane jako reportaże, dokumentalne, biograficzne, przyrodnicze, a nawet trafiły się takie filmy jak – retrospekcja, muzyczny i historyczny. Ich poziom artystyczny był zróżnicowany, ale cieszy fakt, iż znalazły się filmy stanowiące mocne punkty festiwalu. Przeglądy filmowe zostały podzielone na dwa dni – w Jeżyckim Centrum Kultury, w których widzowie wybrali Grand Prix Festiwalu w postaci statuetki JASZCZURA wg projektu rzeźbiarza Kazimierza Rafalika ex equo dwa filmy” Kocham Ciebie bardzo-miłość na poddaszu” w reżyserii Andrzeja Mrówczyńskiego” i „Poznań jakiego nie chcemy” w reżyserii Lechosława Lerczaka i Romana Klamyckiego.

Filmy – zwycięzkie zostały nagrodzone na uroczystej Gali, która odbyła się w kinie Muza w dniu 10 grudnia 2016. Przedziły go filmy towarzyszące,

między innymi nagrodzony film podczas ostatniej edycji festiwalu w 2014 film Jagody Nadziejuk „Piękny jest ten świat” oraz takie filmy jak „Sen o Warszawie” w reżyserii Krzysztofa Magowskiego, „Muzyka w dolinie Charlotte” Bogdana Bogiela, „Przyjaciele na 33” w reżyserii Grzegorza Brzozowicza i „Interclub” w reżyserii Stefana Mroczkowskiego. Na Gali pojawili się przy wręczaniu nagród i wyróżnień: włoska piosenkarka i aktorka Farida, zastępca prezydenta Poznania Jędrzej Solarski, reżyserzy Stefan Mroczkowski i Krzysztof Magowski nadać splendor Festiwalowi.

Warto również wspomnieć, iż w obu dniach przeglądowych zostały wyświetlone również filmy pozakonkursowe, które stanowiły oprawę dni konkursowych.

Organizatorzy dotarli z zaproszeniem do licznej grupy seniorów, bowiem okazało się, że nie jest ten Festiwal li tylko wydarzeniem lokalnym. Filmy na konkurs zostały nadesłane z całej Polski, między innymi ze Szczecina, Tomaszowa Mazowieckiego, z Zielonki koło Warszawy, czy też z Chotomowa. Kolejny raz został przesłany film z Berlina, tak więc można powiedzieć, że Festiwal ma już charakter międzynarodowy.

Jako koordynator festiwalu miałem sporo pracy, ale opłaciło się zaangażować w ten niezwykle projekt, bowiem sądzę, że VII edycja Festiwalu Niezależnej Twórczości Filmowej i Fotograficznej Osób Dojrzałych 60 plus WYŚCIG JASZCZURÓW (może warto by tę nieco karkołomną do zapamiętania nazwę spolszczyć) stał się już wydarzeniem kulturalnym miasta Poznania. ■



Homo Migratus – człowiek migrujący

LEOKADIA KOMAISZKO

Tę wystawę zorganizowaną w listopadzie br w belgijskim Liège zapragnęłam obejrzeć dogłębnie i spędziłam w Muzeum Życia Walońskiego całe popołudnie. Zaabsorbowały mnie m.in. wywiady z kilkoma znajomymi belgijskimi Polakami starszego i młodszego pokolenia. Chłonęłam ich bardziej lub mniej lakoniczne opowieści o nie zawsze cukrowych przejściach szczególnie w latach początkowych i myślałam, że oto ubogacają swymi treściami historię walońskiego kraju.

Emigracją nazywamy dobrowolne lub przymusowe opuszczenie kraju urodzenia, przyczyny mogą być polityczne, ekonomiczne, religijne, naukowe. Migracja, emigracja, imigracja – to wędrówka ludzi mająca na celu zmianę miejsca pobytu; przemieszczanie się jest całkowicie naturalnym zjawiskiem i występowało we wszystkich epokach.

Z doświadczeń współczesnej polskiej emigracji zrodziły się np. Listy z daleka, których autentyczny zapis trwa od dwudziestu lat. Tu chcę podziękować wszystkim naszym korespondentom w Belgii, Polsce, Europie i na świecie za kontynuowaną przygodę tworzenia naszego unikatowego czasopisma. Zapraszam ponownie do zapoznania się z imionami i nazwiskami w stopce „Aktywnie



Muzeum Życia Walońskiego w Liège

współpracują” oraz nazwami instytucji i portali internetowych na okładce verse: <http://polonia.be/Listy-z-daleka/lzd.htm>. Wspólnie poprzez Listy z daleka zostawiamy ślady o nas, przekazujemy багаż naszych doświadczeń, dzielimy się wiedzą.

Informacja o pierwszych polskich emigrantach na terenach Liège jest notowana w roku 1925, w tym okresie Belgia apelowała o pomoc w robotach kopalnianych również do innych krajów sąsiednich jak Francja (1924), Luksemburg (1926), Holandia (1933), Włochy (1922). W latach 70, kiedy kopalnie zaczęto zamykać, emigrantów powołano do po-

wrotu. Lecz... czas się wypełnił, powyrastały rodziny, nowoprzybyli pobudowali domy. Polscy górnicy utworzyli całą ulicę w pobliskim od Liège osiedlu Retinne, ich posiadłości dotychczas są tutaj najpokaźniejsze, chociaż niekiedy mieszczą w nich ciągle Polacy. Zresztą o Retinne pisałam w reportażu „Wycięty las”. Część bohaterów mego tekstu, dzieci górników, nieraz już wysoko wykształceni, z zawodami lekarzy, wykładowców powróciła do Polski, również na tereny nad rzeką Prosną, skąd onegdaj przybywali do Belgii ich przodkowie... Tak to czasami wędruje człowiek wte i wewte, w poszukiwaniu atrakcyjniejszego życia – korzystniejszego materialnie lecz też i duchowo.

Innym górującym punktem wystawy „Homo Migratus” był temat rozmowy „Życie wspólnie”. Słyszałam wypowiedzi o kryzysie ekonomicznym i też społecznym, słyszałam o konieczności stawiania się człowiekiem łagodniejszym, bardziej tolerancyjnym i też o funkcjonowaniu na planecie bez... granic. Tu należałoby wspomnieć, że pierwszy mur izolujący zbudowało Imperium Rzymskie w 122 roku Chrystusowym, a pierwszy paszport – dokument upoważniający do przekraczania granic – wymyślono w połowie wieku 19ego...

Nawiązując do powyższego, chciałabym zaprosić Państwa, Drodzy Czytelnicy, do rozwinięcia dyskusji w tym właśnie zagadnieniu – wspólnego życia. Jak ono ma wyglądać w Polsce i innych krajach gdzie się akurat znajdujemy, pomiędzy narodami wśród których rzucił nas los, z wiedzą którą zdobyliśmy... Chciałabym byśmy porozważali i nad określeniem słów „cywilizacja”, „człowiek cywilizowany”.



Pierwsze baraki mieszkalne górników

fot. autorka

ANKA KOZIEL PRESENTS HER BRAND NEW ORIGINAL PROJECT:

SLIGHTLY **ODD**

ANKA **KOZIEL** voice, shakers, handpan

REMBRANDT **FRERICHS** piano

VASILIS **STEFANOPOULOS** bass

PEPE **GARCIA** perc.instr.



www.ankakoziel.com

www.polen.travel



POLISH
TOURIST
ORGANISATION

POLSKA
COME AND FIND
YOUR STORY



Move Your Imagination

Kom naar Wroclaw,
Europese Culturele Hoofdstad 2016